

Przepowiednie o Polsce.

Ks. Dr. Galant.

Zdawałoby się, że przepowiednie o upadku i wskrzeszeniu Polski, skoro się spełniły, mają już wartość tylko historyczną, muzealną. Prawdą jest, że straciły wartość aktualną, jednak mimoto mają doniosłość wielkiej wagi. — Wiadomo, że prorocтва pokrewne treści, albo się powtarzały, albo też łączone były jako typ i antytyp razem, bliższe z dalszemi. Przypomnijmy sobie kłosa i krowy Faraona, snopy i gwiazdy Józefa, wyzwolenie rządu z niewoli babilońskiej i ludzkości z niewoli grzechu. Klasyczny przykład mamy w przepowiedni Chrystusa: zburzenie Jerozolimy i koniec świata. To łączenie przepowiedni oznacza pewność przyszłego ich spełnienia się, — w szczególności zaś, że spełnienie bliższej co do czasu przepowiedni jest rękojmią spełnienia się i dalszej w przyszłości przepowiedni.

Przepowiednie o upadku i odbudowie Polski możemy tylko po krótko zrejestrować. — Już Bolesław Chrobry zapowiadał klęskę Polski. Przyszły one za Mieczysława II, jako początek następnych. — W Prusach zachodnich lud zapowiada, że św. Wojciech przyjdzie jeszcze głosić słowo Boże. Rozumieć to należy o ciężkich chwilach Polski i o pomocnym orędownictwie Patrona Polski. — W życiorysie św. Stanisława czytamy, że ciało jego zostało porabane przez Bolesława, a potem części jego się zrosły. Autor dodaje, że było to znakiem, że i Polska będzie rozdarta na kawałki, ale kiedyś się zrośnie w całość. Przypomina się tu widzenie Ezechiela: Postawił Pan Ezechiela w pośród rozległego pola, pełnego kości. I mówił mu Pan: „Czy ożyją te kości?“ „Ty wiesz, Panie.“ „Prorokuj o tych kościach: „Kości, słuchajcie słowa Pańskiego: Oto, ja wpuszczę w was ducha i żyć będziecie.“ I wszedł w nie duch i ożyły; mnóstwo bardzo wielkie.

Pomijam obietnice na bliższą przyszłość i doraźną pomoc nadprzyrodzoną w najcięższych chwilach Polski, pomoc św. Florjana, św. Michała, św. Kazimierza, osobliwie pomoc niejednokrotną Najśw. Panny, jak pod Częstochową, pod Warszawą. Nawet wolnoduchcy, opisując te zwycięstwa, nie mogą powstrzymać się od wyrażenia: „zwycięstwa cudowne“, nijacz, miarkują je tylko przysłówkiem „prawie“ (cudowne).

Znane są wybitne przepowiednie Skargi w kazaniach sejmowych. „Spętają was i pogonią, jak owce, w obce strony itd.“ (Kaz. sejm.). Upadek Polski przeczuwał i zapowiadał już Zygmunt I, Andrzej Krzycki, Zygmunt August, Stefan Batory, Jan Kazimierz, Stanisław Leszczyński.

Lepszą dolę i odbudowę Polski zapowiada Eustachiusz, Benedyktyn, podanie o śpiących wojskach w Karpatach, ślepy (podobnie jak Milton) wieszcz ukraiński Wernyhora, tu i ówdzie przygodnie Mickiewicz.

Ciekawy także jest znak wieszczcy, jaki się zdarzył za Jana Kazimierza. Gdy za zwycięstwo pod Zbarażem, odprowadzono we Lwowie dziesięczone nabożeństwo, przy śpiewie „Te Deum“, zgasła sama przez się jedna świeca — znak niedobry; lecz przy słowach: „tuis famulis subveni“ sama się zapaliła — wróżba korzystna. Można zarzucić, że tego rodzaju zdarzeń nie można wyciągać, awansować do znaczenia przepowiedni. Samych przez się, nie, — ale przez towarzyszące okoliczności chwili, nastroju, ogólnego wrażenia i przekonania, tak. (Obacz „Znaki wieszczce“, Spirago, Miarka, Mikołów.)

Wybitną jest przepowiednia bł. Andrzeja Boboli, Jezuity, umęczonego przez kozaków, w roku 1657. Daną była O. Korzenieckiemu, Dominikanowi, — o czym opowiada Ks. Kajsiewicz. „Kiedy będzie wojna na polach Pińskich, gdzie Męczennik śmierć poniósł, wtedy będzie Polska wskrzeszona, a on (Bobola) będzie uznany głównym jej Patronem“. Na dowód tego położył rękę na stole i zostawił jej ślad. — Podobne myśli zawiera przepowiednia patnika na górze Synaj w r. 1840; przepowiednia o końcu wojny światowej na polach Medyki; przepowiednie, zawarte w dziele „Ojciec nasz“, wydanem w polskim języku przez Aug. Cieszkowskiego.

W związku z tem podam jeszcze na podstawie dziełka „Sławne prorocтва“ i żyjącej tradycji, zdarzenie z oblężenia Przemyśla. Otóż Przemyśl przeżywał trzy oblężenia gwałtowne. Wśród mnóstwa strażników odbywały się nabożeństwa do Najśw. Panny, żaden kościół nie ucierpiał, miasto bardzo mało. Jednego dnia ujrzeni Moskale od strony Dubiecka, nad fortami unoszącą się postać N. Panny, powstała z mgły i dymu. Kształty były wyraźne, z ręką błogosławiącą stary gród, pod którym zawsze na koniec przychodziło Turkom, Tatarom itp., tak, że jeden z burmistrzów Lwowa, Ciuchciński, nazwał Lwów przedmieściem Przemyśla, bo hordy najeźdźców, narobiwszy psot i klęsk we Lwowie, szły na Przemyśl i tu dopiero doznawały porażki i rozsypki. Niebawem Moskale ustąpili. Według „Geografii fizycznej Polski“ Tatomira, Przemyśl i okolice Sanu, należą do najspokojniejszych pod względem klimatycznym, — mniej pod względem społecznym... (C. d. n.)

Spowiedź Antka sieroty

(Dokończenie.)

Wzruszenie widać było gwałtowne, bo padłem jak nieżywy na ziemię i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Jak mi później mówiono, leżałem przez cztery tygodnie bez przytomności w strasznej gorączce.

Pogrzeb się odbył, ale jak i kiedy, nie o tem nie wiem.

Jak tylko już dobrze wyzdrowiałem, pobiegłem na mogiłę drogiego rodzica, utyskiwałem na niej, płakałem, modliłem się, a kiedy lzy oschły, jakaś nadzieja wstąpiła w me serce i postanowiłem zając się szczerą pracą, aby być jak człowiek prawy... ot, jak mój najkochańszy tatuś.

Bo też trzeba wiedzieć, że każdy go szanował jako poczciwego i pracowitego człowieka.

Poszedłem prosto do dworu z tą myślą, aby mi tam dali służbę, albo dobrą radę, co mam z sobą robić nadal.

Zobaczywszy tę panią, co tam była w naszej chałupie, skłoniłem się do nóg i bardzo ją prosiłem, aby się za mną wstawiła do dziedzica, żeby on przyjął mnie do służby.

Ucieszyło ją to bardzo, że sam przychodzę z tą prośbą do niej, wzięła mnie za rękę i wprowadziła do pana.

Pan, był to człowiek ostry, mowę miał surową, a gdy spojrzał na człeka, to się długo patrzył, niby chcąc się przekonać, z kim ma do czynienia.

Wysłuchaj pilnie mowy pani, a gdy skończyła, rzekł mi dość surowo:

— No dostaniesz służbę we dworze, ale nie myśl, żeby ci tu wolno było baki zbijać: jeżeli się dobrze będziesz sprawował, ja o tobie nie zapomnę, ale jeżeli



oddasz się lenistwu, wypędzę cię i słyszeć nie chcę o próżniaku. Nie masz ojca ani matki, jesteś jeszcze dzieciak, powinieś więc pracą zasłużyć się na moje względy.

Mówił to wolno, ale szczerze. Podobała mi się taka mowa, bo czułem, że człowiek mądry daje mi napomnienia ojcowskie.

Uścisnąłem mu nogi pokornie, nie nie odpowiedziałem, tylko spojrzałem mu w oczy, a w tem spojrzeniu łatwo mógł wyczytać chęć do pracy.

Zaprowadzono mnie do kuchni, gdzie dali wybornej strawy, ale mało co jadłem, bo mnie raziły śmiechy tamtejszej służby.

No, początek we dworze nie był mi trudny, przekonali się, że jestem cichy, potulny i pracowity, a więc polubili mnie wszyscy. Pracy miałem coniemiar, każdy bowiem kładł na mnie ciężary, ja jako biedny sierota dźwigać musiałem, choć nie raz gorzka łza spłynęła. Ale nie było rady, musiałem wszystko znoś w milczeniu.

Jednak nie trwało to tak ciągle: moja potulność zjednała mi sprawiedliwość u ekonoma: często więc surowo zgańił tych, co nadużywali mej cierpliwości, a że był pocziwym człowiekiem, więc pochwalił mnie kilka razy przed dziedzicem.

Tak tedy wiele czasu upłynęło. Ja wyrosłem z potulnego chłopaka na dorosłego parobka, dziedzic mnie lubił, ekonom poważał, a pani ta, widząc chęć moją do nauki, kupiła książkę jedną i drugą i uczyła mnie czytać, jak prawdziwa opiekunka.

We dworze był tam jeden z dworskich, co umiał grać pięknie na skrzypcach: za usługi moje nauczył mnie przebierać palcami, a przy gorących chęciach i cierpliwości w krótkim czasie umiałem grać wcale nie najgorzej.

W smutku więc i tęsknocie siadywałem gdzie w ustroniu i grałem piosnki tkliwe, bo czułem, że mi to sprawia wielką ulgę w cierpieniu.

Jakaś boleść miła mnie ogarniała, kiedy przygrywałem smętnie, a boleść ta, choć dolegliwa, chociaż łza gorzka w oczach zabłysła, była przecież dla mnie pociechą, jakby przychylne słowa tatusia.

Inni we dworze nazywali to „ładajakiem graniem“, oni bowiem lubili słyszeć śpiewki wesołe, skoczne, do jakich ja wcale chęci nie miałem, bo dla mnie piosnka była nie na wesołość, tylko na pociechę w samotności.

Jedyna dusza w caluteńkim dworze dzieliła uczucie wraz ze mną, dumiała smętnie, kiedym przygrywał, i często fartuszkim łezką otarła.

Była to Marcysia, córka ekonoma, dziewczeczka śliczna i składna, a na jej twarzy i we słowach sama dobroć się przebiła.

Była ona młoda i bardzo kochana od rodziców, a ponieważ u ekonoma byłem w wielkich łaskach, nie więc dziwnego, że mi nie wzbranił do Marcysi zachodzić. Dla innych była nieprzystępną, często zburczała opryskliwie śmielszego parobka, który jej żarcikami dokuczył: ale do mnie przywiązała się dość szczerze.

Oj, kochałem też ją, jakby świętość jaką, boć też to było takie dobre dziewczę, takie ciche, potulne, a tak umiejące dzielić smutek bliźniego, jakby była już dorosła kobieta.

I pani ta bardzo nas polubiła, a kiedy wpadła w ciężką chorobę, siadywaliśmy u niej przy łóżku, bo najlepiej lubiła, kiedyśmy my jej usługiwali.

Choroba się przedłużała i stawała się coraz przykrzejszą, aż pewnego dnia, błogosławiąc nas, oddała Bogu ducha.

Pocziwie ona myślała o mnie: zostawiła sporą sumkę, którą dziedzic miał mi wyliczyć, jak będę zupełnie dorosłym.

Na pogrzeb zjechało się bardzo dużo ludzi ze stron rozmaitych, pomiędzy którymi był syn dziedzica, pa-

Dobry Pasterzu!

Dobry Pasterzu, który swe ramiona
Do każdej błędnej wyciągasz owieczki,
Którego Matka Przebłogosławiona
Ma słodkie miano: grzeszników Ucieczki.

Na pogan kraje zwróć łaskawie oczy!
Ratuj ginące w pogaństwie narody,
Które rak straszny bałwochwalstwa toczy!
Ogrzej swą łaską twarde serc ich lody!

One Cię, Jezu, tęskno oczekują,
Bo serce ludzkie dla Boga stworzone,
One swą nędzę i swą niemoc czują
I Twoich Boskich pociech są spragnione.

Obudź w kapłanach zapał apostolski,
A w sercach wiernych ducha ofiarności,
Niech sprawę misji pokocha lud polski,
Świeżo skąpany w promieniach wolności!

Matko Najświętsza! pod Twoją obronę
Pogaństwo biedne z ufnością się garnie,
Spraw, niech i ono zostanie zbawione,
Niech Chrystusową pomnoży Owczarnię!

Ks. Mateusz Jeż.

nier młody i dorodny. Był on wysoki, szczupły, włosy miał czarne, dosyć długie, a spojrzenie dumne i wyniosłe.

W kilka dni odbył się pogrzeb z przepychem, cała wieś wyległa, księży moc ogromna, światła, powozów było coniemiar.

Na mogile jeden ksiądz miał prześliczną mowę, potem zasypali trumnę, światła pogasili i wszyscy się rozeszli.

Panicz pozostał we dworze, przyjeżdżali do niego bardzo często jacyś młodzi ludzie i ciągle na osobności załatwiali snąć ważne sprawy, a spraw tych musiało być wiele, bo nie tylko we dnie, ale i w nocy przybywali rozmaici ludzie.

Pewnego razu zawołał mnie panicz do siebie, popatrzył długo mi w oczy i rzekł:

— Słuchaj, chłopcze, jesteś wierny, uczciwy, zatem kochać musisz tę ziemię, w której leżą zwłoki twego rodzica. My jej bronimy, oddając majątki i nasze dobytki: ty nam będziesz użyteczny, ale przysięgnij na swego ojca, że cokolwiek ujrzysz, zamilczysz, choćby cię śmiercią straszili.

Aż mi serce zadrgało, z radości pochwyliłem go za rękę ucałowałem ją za ten wielki zaszczyt i rzekłem:

— Przysięgam na popioły mego tatusia, że wierne wam, panie, będę służył: żądajcie odemnie życia, a chętnie je poświęcę dla świętej sprawy.

Ucieszyła go widać ta odpowiedź: ścisnął mi rękę i po chwili rzekł:

— Od dziś należysz już do nas.

Uszczęśliwiony, pobiegłem na grób mego ojca, tam w szczerzej modlitwie prosiłem Boga, aby mnie uchwalał od bojaźni, aby mi dodał męstwa i siły.

I wiodło mi się wcale nie najgorzej. Moskali szczęśliwie w pole wyprowadzałem, przewoziłem broń, mundury, listy i żywność dla obrońców kraju.

Dziedzic wraz ze swoim synem pracował gorliwie, nie szczędząc pieniędzy i pracy: ale snąć wszystko skończyć się musi a więc przyszła kolej i na niego.

Zli ludzie wszędzie się znajdują: znaleźli się i pomiędzy nami, którzy donieśli Moskałom, że u mego pana jest biuro powstańców.

Przyszli więc z siłą zbrojną: otoczyli dwór i najściślej odbyli rewizję. Na szczęście nie znaleźli we dworze, tylko przy mnie jakieś notatki, z którymi właśnie wychodzić miałem. Pytali się, kto mi

je oddał. Ja odpowiedziałem, że znalazłem, a po wielu szturchaniach odprowadzili mnie wraz z dziedzicem do więzienia.

Dowodów żadnych nie mieli, więc dziedzicowi nie uczynić nie mogli, ale szpieg zaręczał, że tam się odbywały spiski polityczne.

Udali się do mnie, abym zeznał, czy dziedzic był na czele spisku. Ofiarował mi wolność, a w przeciwnym razie szubienicę! Jednak Bóg dobry natchnął mnie siłą, wybrałem więc szubienicę, bom wiedział, że tem uratuję mego pana, a z nim bardzo wiele Polaków. Jutro skończą się moje troski. Na sercu żadnego nie czuję żalu, jeno wielką radość, że biedny chłopczyzna może się przyczynić do szczęścia współbraci.

Ksiądz zadumany pobłogosławił Antka i ze łzami w oczach pokrzepił słowem Bożem jego czyn szlachetny.

Na drugi dzień było gwarno, bo na placu budowano szubienicę dla biednego Antka sieroty. Ludzi się zbiegło wiele, wojsko broń sprezentowało, bo na wózku z księdzem jechał nasz sierotka, blady, ale z silnem postanowieniem.

Kiedy wchodził na szafot, spojrzął na prawo i ujrzawszy swoją Marcysię, która fartuszkciem gorzkie łzy ocierała.

Pożegnał ją wejrzeniem, w oczach łzy się zakłęciły i ciężkie westchnienie z piersi uleciało. W tej chwili bębny zahuczały, oprawca przystąpił, i nie upłynęło kilka minut a biedny sierota oddał Bogu ducha!

Dziedzic został uwolniony.

Do dnia dzisiejszego z prawdziwym szacunkiem wspominają Antka sierotę; ekonom długo chodził zamysłony, nie mogąc znaleźć nigdzie spokoju, a biedna Marcysia pocieszała tylko temi słowy:

— Pan Bóg stokrotnie tam mu wynagrodzi.

Mniemany żebrak.

(Powieść z francuskiego.)

I.

W jednej z najustronniejszych okolic Zachodniej Francji znajduje się wioska mało znana i zwiedzana. Chociaż gościniec przechodzi niedaleko, samaż osada tak dobrze się kryje w dolinie, a raczej jarze głębokim, iż przejezdni dostrzec jej wcale nie mogą. Wioska ta zowie się Zalesiem, i słuszne to miano, albowiem cała okolica wyjątkowo leśne zachowała cechy. Nie brak wszakże ziemi uprawnej, atoli każde nieomal pole otoczone jest wysokim jak palisada żywopłotem, na miedzach zaś siedzą olbrzymie dęby, nadające tym stronom pozory jednego, wielkiego boru. Mimo tego, wioska nasza posiada dostatek światła i słońca. Rozrzucone chatki biela się wśród ogródków dostarczających mieszkańcom owoców i warzyw. Jedne wznoszą się w głębi dolinki, inne uczepiły się stoku pagórka, nadawając całej osadzie wiele malowniczości.

Opowiadanie nasze rozpoczyna się w dniu 2 maja 1842, — późna w tych stronach wiosna, pierwszymi promieniami cieplejszego słońca rozweselała okolicę. Blaski zachodu igrały w szybach, złociły dachy, a nową krasą stroiły ogródki, drgały w samotnem powietrzu wesołością i życiem. Dzieci bawiły się gwarnie przed domkami, zdala odzywały się szczekania psów, ryki wracającego do zagród bydelka. Kobiety uwiązały się przy pracy, bądź w ogrodach, bądź w izbach naocześnie otwartych. Świąteczne pozory uderzały mianowicie w chacie położonej na kresie osady, która osobną wabiła czystością i porządkiem.

Domek to był ślicznie wybielony, osłonięty pnącym winogradem, na oknie stały doniczki z kwiatami, w progu drzemał bury kotek, grzejący się na słońcu.

Wewnątrz chaty nie mniejszy ład panował. Nigdzie ziarenka ani trawy, wszystko błyszczało czystością. Na ścianach święte obrazy, łóżka starannie posłane, półki dźwigały całe rzędy jaskrawo pomalowanych talerzy i świecących łyżek i widelcy. Zastawione na ognisku garnki, kipiały roznosząc woń przedziwną. Na stole zaś czysty obrus i zastawa dowodziły, iż się w domu tym wkrótce miłych spodziewano gości.

Jakoś sama gospodyni kręciła się po izbie, uzupełniając przygotowania. Choć już nie młoda a wdowia powagą obleczona, zachowała jeszcze w oczach blask młodości i rysy twarzy o dawnej świadczyły urodzie. Ale na obliczu wyrzyły się i ślady przebytych cierpień, życia pracy, strąt serdecznych, trosk i smutków przeboleń. Na stole obok rozwartej książki do nabożeństwa, leżał różaniec, teraz jednak Jakóbową, tak ją bowiem zwano we wsi, nie modliła się ani chwytiała za leżącą opodal kądziel, lecz na przemian to doglądała ogniska, to znów wybiegała przed chatę, jakby wyglądała kogoś niecierpliwie.

— Jakże się dziś spóźnia! z westchnieniem powtarzała, i znów jakoby dla własnego uspokojenia dodawała: — Ależ stąd do miasta daleko, a dziś zupełny upał.

Wtem psy zaszczekały na wsi, a wraz odezwały się chórem wesołe dziecięce okrzyki.

Jakóbową od razu odgadła powód tej wrzawy. Młodzieniec ubrany po wojskowemu, w mundurze piechoty linjowej, ukazał się u wstępu do wioski.

Śliczny to był chłopak, o znużonym wyrazie twarzy i pełnem łagodności spojrzeniu. Mimo dowodów długiej wędrówki zostawionych na zakurzonem obuwiu i mundurze kroczył naprzód pospiesznie i żwawo.

Z każdej chaty słano ku niemu wyrazy miłego i radosnego powitania. Działki przelotną zbywał pieśczętą, ale się nie zatrzymywał, lecz niemal biegnął ku rozpoznanej już zdala matce.

— Mój Wawrzynku! — zawołała Jakóbową, obejmując żołnierza w macierzyńskim uścisku. Wracasz więc nareszcie!

— Tak jest matusiu, ale nie witajcie tak, nie całujcie, bom gotów się popłakać jak głupi.

Jakoż, ukradkiem łzę rękawem ocierając, wciągnął matkę do izby.

Nim jej przyszło zamieszkać w tej ubogiej chatce, Marianna Nowak, powszechnie Jakóbową zwana, lepszych zaznała czasów. Rodzice jej posiadali piękne w sąsiedztwie gospodarstwo i uchodzili za majątnych ludzi. W ośmnastym roku życia Marianna zaślubiła podobnież bogatego gospodarza, i w pierwszych latach małżeńskiego życia, samych zakosztowała powodzeń. Dwa tegie dzieciaki, dwaj chłopcy, rozweselały domek młodej pani. Mąż był poczciwy, pracowity, żonę kochał, gospodarstwa doglądał i uchodził za doskonałego rolnika. Wszystko zdawało się młodemu stadłu upewnić długi szereg lat szczęśliwych, gdy Opatrzność coraz cięższymi ciosy jeła ich próbować.

Najprzód nastąpiły po sobie lata nieurodzajne, zaraza padła na dobytek, grad wybił zboże. Z dawnego dostatku nic się nie ostało i bieda zaglądała oknem. Jakób podwajał trudy i czynności aż tu pewnego razu, gdy nieco lepsze zapowiadały się żniwa, spadł z woza naładowanego zbożem tak nieszczęśliwie, iż zabił się na miejscu. Nastąpiły bardzo ciężkie chwile. Wdowa zmuszoną została w znacznej części sprzedać gospodarstwo, sama ze sierotami swojemi zamieszkała w szczupłej chatce położonej na kresie wioski Zalesia. Chata owa, przylegający ogródek, oraz kawałek gruntu, oto wszystko, co jej z dawniejszych zbytków pozostało. Zaczęło się wtedy dla niej życie pełne utrapień, gdyby nie pomoc braci swoich, ludzi poczciwych i majątnych byłaby nieraz zakosztowała głodu i chłodu. Ale choć bracia nieraz dla ulżenia jej ciężaru chcieli

wziąć do siebie na wychowanie którego z jej chłopców, nigdy się z nimi rozłączyć nie chciała. Pieszczotami osładzali oni smutne życie biednej wdowy, dopóki byli mali. Podrósłszy nieco, wcześniej pracą rąk własnych użyźniali jej szczupłe dziedzictwo i zwiększali dochody. Skoro najstarszy syn szesnasty rok skończył, udało mu się pracą i zabiegliwością wrócić matce, jeśli nie dawny dostatek to przynajmniej spokojne i wygodne życie.

Jakóbową słusznie dumną być mogła z swych synów. Tacy to byli dzielni, poczciwi chłopcy, tak umieli matkę szanować i miłością ją otaczać. Starszy Maciej, istnym był ojca obrazem. Tak samo posuwał uczciwość, pracowitość, prawość, aż do najwyższego stopnia i granicy. Wstawał wcześniej od innych, kładł się ostatni, i robił za dwóch przez dzień cały. Wawrzyn weselszego był usposobienia, większych może zdolności, a nie mniej kochał matkę. Do pracy może miał nie tyle ochoty i zapału co Maciej, i kto wie, czy nie byłby się rozhułał za młodu, gdyby nie zbawienne jarzmo obowiązku i ubóstwa. Kto wie nawet, czy lata służby wojskowej nie byłyby mu się uśmiechały po trochu, gdyby nie miłość matki i boleść rozłączenia.

Widok jej łez, gdy go brano do wojska, wyrwał się w sercu młodzieńca. Dla Jakóbowej była to najcięższa próba odkąd zagoiły się dawniejsze rany, długo też nie mogła się oswoić z nieobecnością swego syna. To też gdy przed kilkoma dniami nadszedł list oznajmujący jej, że batalion Wawrzyńca przechodzi opodal od Zalesia, — że zdawało mu się kilkudniowy uzyskać urlop, radość jej nie znała miary. Od tej chwili krzątała się ustawicznie, aby mu zgotować jak najlepsze przyjęcie, i nie spoczęła, dopóki nie przycisnęła go do macierzyńskiego łona. Gdy syn ochłodził się szklanką piwa, którą mu nalała drżącą od wzruszenia ręką, usiadł przy oknie, a Wawrzyn zajął miejsce u jej nóg. Długo tak ani mówić nie mogli, ciesząc się wzajemnie. Wawrzyn pierwszy przerwał milczenie:

— Matusiu — odezwał się z czułym wyrzutem, to nie dobrze się tak gorączkować. Całaś biała i drżąca, a przecież od wczoraj wiesz, że przybędę.

— Otrzymałam list na czas, jeśli dziś płacze, to z radości, a podobne łzy nie trują. Lepiej mówmy o tobie, chłopcze. Czyś bardzo nieszczęśliwy w wojsku? Czy ci niezbyt trudno?

— Gdzieżby mi miało być trudno — zaśmiał się wesoło Wawrzyn. — Owszem, nie źle mi w mundurze, bodaj na żołnierza byłem stworzony, albo mizernie wyglądam?

— Nie, mój synu — odparła matka, patrząc z radością na dorodnego młodzieńca. Zdrowie tryska ci z oczu.

— Nicby mi nie brakło, gdyby nie rozłączenie z wami. Jakże zazdroszczę szczęściu tych z moich towarzyszków, którzy w pobliżu mając rodziców, często ich odwiedzają.

— Nie długo próba! — cieszyła go matka.

— Jeszcze dwa lata! — westchnął Wawrzyn.

— Za łaską Bożą, czas ten prędko minie, prędkiej bodaj tobie, aniżeli mnie — mówiła dalej Jakóbową.

— Zresztą wystaram się o niejednego urlop!

Ze zwykłą żywością do innego przechodząc przedmiotem spytał Wawrzyn:

— Wyglądaliście mnie matko? prawda, że się spóźniłem?

— Istotnie myślałam, iż rychlej nadejdiesz.

— Musiałem się po biurach włożyć dla uregulowania mego dzisiejszego pozwolenia. Ale nie będziecie na tem stratni, bo mi o jeden dzień przedłużono urlop.

— Jakto? więc nie odejdziesz jutro? — zawołała matka z radością.

— Dopiero pojutrze wieczorem. Pójdę nocka, aby czasu nie stracić.

I tak rozmowa ciągnęła się dalej między matką a synem, przerywana pieszczotami. Gdy jednak słońce zniknęło z widnokręgu, Wawrzyn spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

— Dziwisz się, że brata długo nie widać? — spytała Jakóbową.

— Nie, matko, wszakże teraz czas największej roboty.

— Jeśli go dotąd niema, zapewne odprowadził pożyczone mu konie sąsiadów naszych, starych Piotrowskich.

— Nie jemu do mnie się spieszyć, raczej mnie wypada wybiec na jego spotkanie, gdyby mnie tu serce nie wzięło przy matusi.

— Idźże, Wawrzynku, naprzeciwko bratu, — rzekła powstając matka. — Już się dosyć z tobą ucieszyłam, a Maciej tak cię kocha, tyle na ciebie się cieszy, taki dobry dla mnie.

— Za dwóch kochać cię musi, teraz gdy mnie tu nie ma, matusiu. Wszak mi to przyrzekł przy rozstaniu.

Odprowadziła go matka do furty ogrodu, a uchylając ją rzekła: — Idźże, mój chłopcze, ale wracajcie się spieszenie razem. Wieczera za chwilę będzie gotowa.

Ogródek Jakóbowej był mały, ale tak dobrze wyzyskany, iż wszystkiego się tam znalazło po trosze.

Trzy ule otoczone grządkami wonnych kwiatów, nie tylko dostarczały smacznego miodu i pięknego wosku, ale pozwalały corocznie sycić kilka butelek wybornego napoju.

Drzewa owocowe okryte były obiecującym kwieciem. W podwórku stały chlewiki, mała oborka i stodoła, obok której wyszedł Wawrzyn na spotkanie brata.

Z umysłu obrał ścieżkę samotną, aby nie tracić czasu na powitanie.

Wtem ujrzał przed sobą urodziwego parobka, który popędzał parę dzielnych koni wyprężonych z pługą. Był to Maciej, starszy syn Jakóbowej.

— Wawrzyn! — krzyknął radośnie.

— Już tu jestem od dobrej chwili, mój Macieju.

— Tego się spodziewałem, i bodaj nadto umęczyłem konie, byle prędkiej skończyć robotę.

— Jutro sobie wypocznę przy żłobie.

— Tom sobie też powtarzał, — rozśmiał się Maciej.

Uściskawszy się serdecznie na przywitanie, bracia mierzylili się okiem.

— Ależ z ciebie żołnierzyk nie lada, — mówił Maciej. (Ciąg dalszy nastąpi).

Myśli.

W beczynnych rękach niejednej damy
Wypożyczony tom spotykamy,
Na którym zewnątrz już brud się mieści,
A cóż dopiero w wewnętrznej treści!...
Ks. Gałant.

Czyn dobry — przez pół ci uznają,
Na zły — z podwójną kredką czyhają...
Ks. Gałant.

Gdzie się ścierw zjawi, tam orły, sępy płyną:
To samo się dzieje z moralną padliną...
Dr. G.

Do towarzystwa, w którym znajdował się i zaproszony kapłan, wchodzi pani domu z córkami, i przedstawiając je, mówi: „To moje córki, proszę darować, może nieco zbyt dekolowane; no, ale teraz taka moda“.

„Nie szkodzi — mówi kapłan — ja przez 10 lat byłem między — dzikimi...“

Dr. G.

